

55 lat spaghetti westernu

5 września 2019

Do dziś pamiętam te leniwe popołudnia w Rzymie, kiedy na zewnątrz panował sierpniowy prażący upał, a na wielkim kineskopowym ekranie Clint Eastwood wygrywał pojedynki w kolejnym anonimowym małym miasteczku na kolejnym pustkowiu na Dzikim Zachodzie. To było kino proste i zarazem piękne. Żadnych moralizujących gadek w stylu Gary'ego Coopera, tylko czyny. Nie było porozumień tylko ołów. To był świat bohaterów, którzy może nie byli specjalnie szlachetni jak John Wayne, jednak przy tym zdecydowanie bardziej ludzcy niż niejeden heros z amerykańskiego Olimpu. Jedno było wiadomo. Włosi potrafili ze wszystkiego zrobić coś wyjątkowego.

27 sierpnia minęło dokładnie 55 lat od premiery „Za garść dolarów” Sergio Leone, które zapoczątkowało nurt we włoskiej kinematografii, zwany spaghetti westernem, które było prawdziwą rewolucją. I przy okazji trampoliną dla nieznanemu nikomu Clintu Eastwooda.

Spaghetti westerny początkowo były z góry oceniane negatywnie przez amerykańskich krytyków, którzy nie tolerowali podróbek ich rodzimego gatunku. Stąd też określenie „spaghetti western”, które zostało użyte po raz pierwszy przez amerykańskich krytyków filmowych jako wyraz pogardy dla westernów „made in Italy”. O ile faktycznie część z nich nie była najwyższych lotów, to nietrudno zauważyć że niektóre z nich (przede wszystkim te w reżyserii Sergio Leone) potrafiły zrehabilitować się z punktu widzenia artystycznego. „Dobry, zły i brzydki” oraz „Pewnego razu na Dzikim Zachodzie” mają do tej pory opinię prawdziwych arcydzieł światowego kina. Nurt miał o tyle dobry wkład w światowe kino, że dokonań spaghetti westernów nawiązywała między innymi twórczość Dona Siegela, Clint Eastwooda, Sama Peckinpaha, Waltera Hilla, Quentina Tarantino i Roberta Rodriguez.

Jakim jednak trafem amerykańskie kule i kaktusy trafiły do Europy? Chyba wszystko chyba zaczęło się od tego kiedy w Stanach Zjednoczonych wybuchł kryzys finansowy i w Hollywood zaczęła spadać produkcja filmowych westernów amerykańskich, które przegrywały konkurencje z telewizją (jak np. z kultową „Bonanzą” czy też „Rawhide”). Włosi, którzy nie posiadali domowych odbiorników, nagle nie mieli czego importować. Tymczasem publiczność ciągle chciała oglądać westerny. Wskutek tego wszystkiego amerykańscy producenci, w celu zmniejszenia kosztów, zaczęli przenosić produkcję do Europy, a w szczególności do Włoch, nawiązując współpracę z miejscowymi włoskimi reżyserami, takimi jak Sergio Leone, Sergio Corbucci czy Enzo Barboni. Włoski przemysł filmowy zaczął dzięki pomocy pieniężnej wytwórni hollywoodzkich finansować tworzenie własnych imitacji klasycznego filmu kowbojskiego. Włoscy twórcy jednocześnie zauważyli, że model wypracowany w Stanach – z jasnym podziałem na dobro i zło i z bezgranicznie uczciwym szeryfem zwalczającym złych do szpiku kości bandytów lub Indian – jest mocno przestarzały. Wpadli na pomysł, by nie tylko zacząć tworzyć własne westerny, ale też nieco zmienić ich formułę, wprowadzając aspekt moralnej dwuznaczności. I to był strzał w dziesiątkę.

Zdjęcia do włoskich strzelanin były najczęściej realizowane w znajdującej się w Rzymie wytwórni Cinecittà (wymóg niezbędny do uzyskania krajowej dotacji) i w plenerach zagranicznych. Najczęściej w rejonach hiszpańskiej Almerii, ale zdarzało się że kręcili także na terenach dawnej Jugosławii czy też Kolumbii. Zazwyczaj ich powstaniu towarzyszył osobliwy sposób produkcji: w jego kręceniu brali udział aktorzy z różnych państw, co nie było kłopotem bo potem ich głosy były podkładane w studiu. Dzięki temu mogli przyciągać znane nazwiska i jednocześnie świetnie promować filmy na rynkach zagranicznych. Nawiasem mówiąc tłumacze mieli co robić na planie, bo np. sam Sergio Leone najlepiej posługiwał się ojczystym językiem i jak nie było tłumacza w okolicy, to porozumiewał się z obcokrajowcami na migi. Istna wieża Babel.

Dodam, że sam proces przy post synchronizacji filmu trwał prawie tyle samo co kręcenie samego materiału. Co ciekawe, często dubbingowani w języku włoskim byli również sami włoscy aktorzy! Zresztą to specyfika dotycząca nie tylko włoskich westernów ale i całego włoskiego kina. Niektórzy aktorzy Bud Spencer (Carlo Pedersoli) czy Terence Hill (Massimo Girotti) do końca swoich filmowych karier mieli swoich stałych „dubbingowców”.

Kolejną znaną cechą włoskich westernów (jak i też w ogóle włoskiego kina) było to że były produkowane przy wykorzystaniu zwykle niskiego budżetu i... stresie związanym z faktem, że nigdy nie było pewności czy tygodniówki będą zapłacone na czas. Owszem następne filmy Sergio Leone po sukcesie pierwszej części „trylogii dolara” dostał o wiele większe fundusze, ale początki nie należały do prostych. Ucinanie kosztów było czymś standardowym, co niejednokrotnie doprowadzało do zabawnych sytuacji na planie, które dzisiaj by nie przeszły. Aktorzy często musieli ściągać swoje kostiumy aby je przekazać dublerom, a materace na których w teorii mieli odpoczywać po nakręceniu swoich ujęć były zabierane, gdyż były potrzebne właśnie do kaskaderskich ujęć. Kiedy produkcja przenosiła poza granice Włoch, do mniejszych ról często zatrudniano lokalnych aktorów, którzy nie zawsze potrafili wykonywać swoje zadania, ale byli dostępni i tani. Jako przykład sprytnego sposobu na cięcie kosztów podam casus „Django”. Otóż w filmie Sergio Corbucciego członkowie wrogiej bandy nosili czerwone maski zakrywające wizerunek, co miało podkreślić ich antagonizm. W rzeczywistości ten chwyt miał pozwolić wykorzystać jednego statystę do kilku różnych ról i w ten sposób dziesiątki zabijanych przez głównego bohatera wrogów grało tylko kilku statystów. I tak to się właśnie kręciło.

Jak już wspomniałem wcześniej Włosi zmienili konwencję klasycznego westernu w którym występował wyraźny podział na klasycznych antagonistów oraz dobrych bohaterów (najczęściej stróż prawa), którzy dobrowolnie bronili ludność

provincjonalnego miasteczka. Wraz z pojawieniem się „Za garść dolarów” na ekranach kin podział ten uległ zatarciu. Nie można nie wspomnieć że fabuła filmu była po części wzorowana na filmie „Straż przyboczna” z 1959 roku w reżyserii Akiry Kurosawy – dodam też że bez aprobaty japońskiego maestro z czego sprawa miała swój finał w sądzie. Sergio Leone rozprawił się z mitem bezinteresownego bohatera. Główny bohater (a właściwie antybohater) to człowiek kierujący się przede wszystkim zyskiem, bandyci nie mają żadnych ludzkich odruchów, kobiety zaś są mało istotnymi dla fabuły elementem. Muszę przyznać że wyraźną cechą dzieł Leone był solidny czarny humor (wystarczy przypomnieć scenę z kapiącym się Eli Wallachem w „Dobry, Zły i Brzydki”). Filmy zawierały jednocześnie charakterystyczną muzykę Ennio Morricone, inspirowaną meksykańską muzyką ludową z solówkami granymi przez trąbki, użyciem sycylijskich instrumentów ludowych i gwizdami. Muzyka sama w sobie była istotna ale w niektórych scenach jej brak był dodatkowym atutem (choćby długa pełna napięcia scena oczekiwania na pociąg w „Dawno temu na Dzikim Zachodzie” – czysta poezja). Kolejnym wynalazkiem Leone były subtelne, budzące napięcie zbliżenia oraz długie sekwencje, które nadały filmowi miana artystycznego. To właśnie dzięki temu zabiegowi pojedynki w filmach włoskich twórców miały w sobie tyle dynamiki.

Gdyby zjawisko włoskiego westernu potraktować w logiczny sposób to wydaje się ono kompletnie absurdalne. Western to jednak jedna z tych rzeczy o których mieszkańcy Stanów mogą śmiało powiedzieć, że jest nierozzerwalnie związana z ich tożsamością. Bezludne prerie, pistolety, saloony, pojedynki w samo południe i dyliżanse to przecież klasyka „made in USA”. W relatywnie młodym, nie posiadającym bogatej przeszłości państwie był ono ucieleśnieniem mitologii, której potrzebuje każde społeczeństwo. Ale Włosi kochali Amerykę w szczególności po II Wojnie Światowej, a Ameryka też starała się troszczyć o półwysep Apeniński wiedząc jakim jest cennym punktem na politycznej mapie Europy w okresie zimnej wojny. Ale to już

inna historia. Niestety lata świetności spaghetti westernu trwały mniej więcej do przełomu lat 1970. i 1980., kiedy kapelusze, lassa, kaktusy czy rewolwery musiały zejść na dalszy plan, aby ustąpić miejsce typowemu kinu akcji, które zdominowały ekrany, w szczególności w okresie ery kadencji Prezydenta Ronalda Reagana, który jako aktor stawiał swoje pierwsze kroki właśnie w westernach (przy okazji warto sobie odświeżyć „Law and Order” z 1953).

Mimo, że nie uważano spaghetti westerny za kino wybitne to nietrudno zauważyć jaki miały istotny wpływ na nasze kino, co widać po hołdach jakie im stawiali amerykańscy twórcy bardziej lub mniej znani jak Walter Hill kręcąc filmy jak „Buffalo Bill” czy „Ostatni Sprawiedliwy”, czy niedawno Quentin Tarantino tworząc „Django” i „Nienawistną ósemkę” do której zaprosił samego Ennio Morricone do napisania muzyki, za co zresztą Włoch został nagrodzony Oscarem. Na koniec nie można zapomnieć o samym Clincie Eastwoodzie, który kręcąc na początku lat 1990. „Bez przebaczenia” w stylu włoskim łamał stereotypy klasycznego westernu i idealnie rozliczając mitologię Dzikiego Zachodu. Można by powiedzieć że na swój sposób puścił oko w kierunku swojego włoskiego mistrza Sergio Leone, który 55 lat temu zaczął proces, który wstrząsnął kinem za co możemy mu być tylko wdzięczni.

Autorstwo: Marcin Górski

Źródło: Trybuna.info